

BOHDAN

PETECKI

"RUBIN" PRZERYWA MILCZENIE



Bohdan Petecki

„RUBIN” PRZERYWA MILCZENIE

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-09-6

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1982

Projekt okładki: Albert Łukasiak

– Namiar! – Fros targnął się w fotelu, jakby chciał zerwać pasy. Palce jego dłoni zawisły nad pulpitem łączności. W kabinie pociemniało. Pochwyciłem kątem oka ruch Luty w stronę ekranu i w tym samym ułamku sekundy przykuło mój wzrok pulsujące zielone światło.

Namiar. Ślad własnego świata w labiryncie galaktycznych korytarzy. Obecność ludzi, którzy na Ciebie czekają, którzy przejeżdżają statek i poprowadzą go tam, gdzie będą wiatr, chmury i słońce, horyzont i ład pod stopami.

Tylko że ten ład w dole dawno już przestał być naszym światem. Jego mieszkańcy przecięli nić łączącą ich z Ziemią, jedną z tysięcy planet uczeplonych najbliższych gwiazd. Stacja na martwym satelicie, ostatni posterunek macierzystej cywilizacji gospodarzy układu, zamilkła cztery lata temu. Baterie jej lidarów, kierunkowych nadajników i tachjonowych anten czekały ślepe i głuche aż do chwili, kiedy w zenicie, nie wyżej niż cztery tysiące metrów błysnie nad nimi ogień rufowych dysz „Rubina”.

Nonsens. Niedorzeczność równie oczywista jak fakt, że nadajnik namiarowy stacji jednak podjął emisję.

Utkwiłem wzrok w niewielkim, prostokątnym ekranie, którego dolną część zasłaniał szeroki kask Luty. Nie mogło być wątpliwości.

– Nonsens – powtórzyłem na głos. – Powinni wymyśleć coś lepszego.

– Kto? – mruknął półgłosem Luta.

– Właśnie, kto?

– Kurs? – dobiegł mnie podniesiony głos Frosa. – Idziemy tak dalej?

Nikt nie odpowiedział. Głowa Luty przesłoniła cały niemal ekran kalkulatora. Światła czujników zamigotały niespokojnie. Z głębi statku, spoza grodzi ładunkowych i energetycznych dobiegło narastające, głuche dudnienie.

Powoli, jakby niechętnie, symbol rakiety schodził z linii biegnącej środkiem głównego ekranu. To była odpowiedź. Nie skorzystamy z zaproszenia, od kogo by nie pochodziło.

– Chmury – zabrzmiał w słuchawkach spokojny głos Luty. Uniosłem głowę. Obiektywy samoczynnie przeszły na podczerwień. Kontury kraterów i pasm górskich wyostrzyły się. Czerń próżni pozostała nad nami. Jeszcze dwadzieścia, trzydzieści sekund i automaty skorygowały tor lotu. Poczulem, że mięśnie mi się rozluźniają. Zmiana korytarza, kiedy statek stoi już na ogniu, nie należy do manewrów przyjemnych. Ani bezpiecznych. Nawet w znacznie większej odległości od ładunku. Tymczasem pod nami widniało już jak na dłoni płytkie, rozległe zagłębienie o wygładzonych krawędziach, w które celowały płomieniste palce odrzutu.

– Chmury – powtórzył Luta.

Ponownie zlustrowałem ekrany. Tak, chmury. Zbita, białozłota masa, przypominająca nieskończonej wielkości bryłę tłuszczu. Byliśmy już pod nimi. W zenicie czerniał jakby pomniejszający się w oczach wylot pionowej studni. Droga „Rubina”. Poza tym śladu jakiegoś pojedynczego obłoku, choćby jednego, pędzonego wiatrem strzępka pary. Mogło się zdawać, że ugrzęźliśmy między dwoma dotykającymi się niemal globami, jednym przypominającym martwe satelity wielkich planet naszego układu i drugim niepodobnym do niczego, niedorzecznie płaskim, jakby sprasowanym przez niewyobrażalną siłę.

Zmieniłem położenie ekranu, szukając wzrokiem kresu tej nieco przygasłej już teraz płaszczyzny i nagle ogarnęło mnie najczystsze osłupienie. Kilka sekund trwałem bez ruchu, po czym bezwiednie sięgnąłem do pulpitu i oddaliłem obraz.

Tarcza chmur nad nami utworzyła regularne, zmniejszające się w oczach koło. Jego krawędzie najpierw powoli, potem coraz szybciej odbiegały ku górze, okrągły. Równocześnie środek wypuczał się w gigantycznych rozmiarów balon. Jego barwy przygasły,

zmatowiały, jasne złoto przeszło w czerwień zmieszana z fioletem. Ale i to było złudzeniem. Na powierzchni kuli, jaką tworzyły już w tej chwili chmury, kładł się tylko refleks czystego nieba, dziwnie pociemniałego, pozbawionego naturalnej perspektywy, jakby zamkniętego w przestrzeni ścianą czarnego szkła. Wpatrzyłem się w ten poszerzony absurdalnie horyzont i osłupiałem ponownie. Wokół chmur, nad naszymi głowami, rysowały się ostre i czyste kontury lądów, gór i wielkich kraterów. Planeta, ku której zmierzaliśmy, otaczała nas swoją skorupą, zamykała wewnątrz przestrzeni sferycznej zbudowanej z własnych kontynentów i oceanów. Przeniosłem wzrok wyżej. Balon chmur oddalił się, przybierając barwę rzekomego firmamentu. Przez moment jeszcze potrafiłem odgadnąć jego kształt, po czym kopuła widnokregu zamknęła się nad nami, ukazując zawieszzone prostopadle odbicie powierzchni globu.

Ale to nie było żadne odbicie. Znaliliśmy atmosferę satelity, na którym osadzono stację. I nie tylko atmosferę. Znaliliśmy na pamięć dane dotyczące temperatury, składu chemicznego skał, promieniowania, czego tam jeszcze. Nie wiedzieliśmy, co nas czeka na tym globie, ale potrafilibyśmy z drobiazgową dokładnością powiedzieć, w jakim to coś wystąpi otoczeniu. To tylko mój wzrok pozwolił się zaskoczyć. Co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć. Świat, który nas wchłonał, wyglądał jak przeniesiony z gorączkowego snu.

Światałka czujników przygasły raz i drugi. Zawibrowały sprężarki tłoczące tlen w przewody skafandrow. Dobiegające z dala, jakby z wnętrza góry dudnienie przeszło w ciągły, zjadliwy grzmot. Zbyt długo patrzyłem w górny ekran. Uciekł mi moment, w którym nieznany grunt staje się lądowiskiem.

Jedno uderzenie, od którego zamrowiło mi w karku, i nagła cisza. Zamierający, ledwie słyszalny syk dyszy. Przekazywany przez obiektywy obraz lądu rozmazał się na moment, po czym wyostrzył ponownie. Staliśmy.

– Tak – powiedział Luta. – Tak to wygląda...

Żaden z nas nie odpowiedział. Siedzieliśmy bez ruchu, nie spuszczać wzroku z okienek czujników. Mijały sekundy. Podłoże trwało mocno, pewnie. Temperatura pancerzy opadała. Dym i kurzawa wzbita odrzutem ustępowały, ukazując otaczający lądowisko krajobraz. Cisza.

Palce Luty ześliznęły się z pulpitu. Zabrzmiał charakterystyczny pisk amortyzatorów fotela i ciało pilota przybrało postawę siedzącą.

– Tak... – powtórzył. Odrzucił głowę do tyłu, odpiął pasy i unosząc wysoko ramiona przeciągnął się, aż mu w piersiach zatrzeszczało. Następnie wstał i nisko pochylony, chroniąc kask przed uderzeniem o zawieszony nad ekranami węzły przewodów, przeszedł w stronę sumatora, który teraz, na lądzie, stał się znowu głównym ośrodkiem koordynacyjnym aparatury pokładowej. Po chwili dobiegło stamtąd nerwowe stukanie przekaźników.

– Nie przypuszczałem... – Fros zająknął się i urwał.

Odwrociłem głowę. Nie spodziewał się, proszę.

Słuchawki w moim kasku ożyły nagle. Buchnął chrapliwy jazgot sygnałów, niezrozumiałe, zatarte słowa, miaukliwe nawoływanie automatycznych kodów, charakterystyczne trzaski świadczące o bliskości słońca. Skrzywiłem się odruchowo, zrzuciłem pasy, może odrobinę gwałtowniej niż było trzeba, i wstałem. Głosy ucichły jak nożem uciął. Na dobrą sprawę nie powinniśmy przerywać nasłuchu. Mogło się zdarzyć, że z urywków rozmów, jakie prowadzili ze sobą mieszkańcy układu, wywnioskujemy coś, o czym powinniśmy wiedzieć, zanim w spokojniejszej chwili sięgniemy do przystawki zapisującej. Ale ten nasłuch Ziemia prowadziła nieustannie od siedemdziesięciu z górą lat. Fakt, że my trzej przenieśliśmy się teraz w bezpośrednie sąsiedztwo nadajników, na satelitę jedynej zamieszkałej planety tegoż słońca, nie zmieniał w gruncie rzeczy niczego. Naiwnością byłoby sądzić, że usłyszymy coś, co uchodziło dotąd uwagi potężnych radiolatarni zainstalowanych za orbitą Transplutona.

Tak czy owak przez całą niemal drogę wszystkie czujniki w pulpicie łączności pozostawały wygaszone i ciche. Oczywiście, jeśli nie liczyć zamiaru, który po czterech latach milczenia ocknął się nagle, jakby ludzie odlecieli stąd na przydługi spacer, a teraz akurat wrócili. Przy tym to nie przybycie ziemskiego statku przywoływało ich do porządku. O ile bowiem nasze odbiorniki milczały tylko dlatego, że od ich nieustannego, bezładnego zgiełku puchły nam głowy, o tyle milczenie nadajników „Rubina”, celowe i zaplanowane, zostało uznane za warunek powodzenia wyprawy. A przynajmniej osiągnięcia przez nas punktu, który teoretycznie dawał szansę przeprowadzenia niezbędnych operacji.

W ekranie coś się poruszyło. Spod dolnej krawędzi tarczy wynurzały się powoli trzy niewielkie bryły. Automaty. Patrzyłem chwilę, jak pełzną, niezgrabnie przewalając się przez odsłonięte żyły skalne, okruchy głazów, niskie, szerokie kopczyki jakby pozostałe po dawno wymarłych, olbrzymich kretach. Wyżej wołałem nie patrzeć. Zdażę jeszcze oswoić się z tym widokiem.

Automaty zniknęły z pola widzenia, oddalając się w trzech różnych kierunkach, aby po przebyciu kilkuset metrów utworzyć posterunki osłony. Kiedy odbierzemy od nich pierwsze meldunki, kiedy kalkulatory naniosą dane na zapisy przywiezione z Ziemi, a w okienku sumatora wyskoczą rzędy cyfr, będziemy mogli opuścić statek.

– Jest zamiar – odezwał się Fros, wskazując ekran łączności. – Masz współrzędne? Luta skinął głową.

– Mniej więcej dwadzieścia pięć kilometrów na południowy wschód – mruknął, nie odrywając wzroku od pulpitu sumatora. – W pasie przybrzeżnym.

– Stacja – wyrwało mi się bezwiednie. Oczywiście, stacja. A cóż by innego.

– Jak to stacja?! – obruszył się Fros. – Kto? Vianden? Mykin? Ten trzeci? Poczekajcie – strzelił palcami – jak on się nazywał?

– Teller – odpowiedział po chwili Luta. W jego głosie wyczułem jakby niechęć. – Po prostu stacja – dorzucił. – Może to oni. Przespali te cztery lata i teraz im wstyd. A może nie. Myślę, że wkrótce będziesz mógł się przekonać.

Fros umilkł. Przyjrzałem mu się. Siedział sztywno wyprostowany, celując brodą w górną krawędź ekranu. Jego długie, szczupłe palce bębniły nerwowo po obudowie pulpitu. Pasy jego fotela walały się po podłodze. Gdybym go nie znał, pomyślałbym, że się boi. Ale to nie wchodziło w rachubę. Nie tylko w wypadku Frosa.

Zerknąłem na zegar i uświadomiłem sobie, że nie zapamiętałem momentu lądowania.

– Ile do wyjścia? – spytałem.

– Dziewięć minut – odpowiedział natychmiast Luta.

– Stereotyp? – rzuciłem, spoglądając na tablicę sumatora. Z mojego miejsca nie mogłem widzieć wyników.

– Stereotyp – mruknął jak echo Luta.

– Wszystko w porządku – powiedział Fros. – Za pięć minut rozwijam anteny. Może... – zawahał się – powinniśmy poczekać do nocy? Sygnalizacja...

– Jak tu jest po zachodzie słońca? – przerwałem, zwracając się do Luty. Ten pomyślał chwilę, po czym pokiwał przecząco głową i wzruszył ramionami.

– Dostatecznie inaczej – burknął – żeby mieć kłopoty.

Jakby to powiedzieć... – zatoczył łuk ręką – ciemno i przezroczyście. Dużo z tego wiecie? – uśmiechnął się. – A w ogóle – dorzucił szybko – nie liczcie za bardzo na to, że tu już byłem... Jasne?

– Już to słyszałem – burknąłem.

Trudno zapomnieć. Zaczął w czasie pierwszej odprawy, a następnie nie przepuścił żadnej okazji, żeby dobrze wbić nam to w pamięć. Przesiedział tu dziesięć lat. Dziesięć lat wodził wzrokiem po morzach i lądach otaczających go ze wszystkich stron, wbrew temu, do czego przywykł w swoim świecie, wbrew wszystkiemu, co dyktowały zmysły i ludzki

rozsądek. Dziesięć lat wsłuchiwał się w tak dobrze znane, a przecież obce głosy mieszkańców sąsiedniej planety, tkwiącej w samym centrum słonecznej ekosfery układu. Wiedział, że podświadomie oczekiwać od niego będziemy pewności w poruszaniu się po tym lądzie, jeżeli już nie szczegółowych informacji jak się zachować, aby uczynić go bardziej gościnnym. Ale też jeśli przestrzegał, by nie spodziewać się zbyt wiele po jego doświadczeniach, mogliśmy mieć pewność, że chodzi o coś więcej niż pewnego typu przezorność, która osłoniłaby go zawczasu przed ewentualnym niepowodzeniem. Skądinąd o miejscu, w którym znaleźliśmy się teraz, mówiło to więcej niż jakiegokolwiek opisy.

– Tym bardziej nie ma sensu czekać – podjąłem. – Uważam, że przy obowiązującej nas ciszy radiowej ważniejsza będzie możliwość utrzymania łączności, choćby tylko optycznej, niż ewentualne ryzyko, że nas odkryją. Zresztą – dodałem, wzruszając ramionami – jeśli po tym szumie, jakiego narobiliśmy siadając, nie mają nas jeszcze na widelcu, to znaczy, że możemy odtańczyć przed nimi kankana, a i tak niczego nie zauważą.

– Właśnie – syknął Fros. – Jeśli... No, dobra – rzucił innym tonem, jakby sam sobie odpowiadał – otwieram parasol.

Przeniosłem wzrok na ekran. Kontury krajobrazu spelzły nagle, zafalowały, po czym przybliżyły się, wypełniły barwami. Rzeźba terenu zyskała nową perspektywę, na zboczach pasm górskich załśniły niewidoczne dotychczas ostańce skalne, piargi i plamy roślinności. Penetrację otoczenia przejęły potężne pierścieniowe fotoanteny „Rubina”. Teraz mogliśmy sobie na to pozwolić bez obawy, że odbiorniki zainstalowane na pobliskiej planecie przechwycą lidarowe stożki naszych szperaczy. Dalsza konspiracja musiała przynieść więcej szkody niż pożytku. Było zresztą więcej niż wątpliwe, czy mieszkańcy układu zmontowali na tym globie jakiegokolwiek urządzenia przechwytyjące. Ich własna ziemia liczyła nie więcej niż półtora miliona mieszkańców, rozwinęli zaledwie dwa zurbanizowane ośrodki i z pewnością miną setki lat, zanim ciśnienie demograficzne obudzi w nich ducha eksploracji. Nawet jeśli to dzięki niemu właśnie znaleźli się w tym układzie.

Tak. Wszystko to prawda, jeśli nie brać pod uwagę drobnostki. Faktu, że pozostawiony na tym lądzie ziemski posterunek badawczo-obszerny umilkł cztery lata temu. Umilkł, by odezwać się namiarowym kodem, dokładnie w chwili, kiedy „Rubin” wkraczał w górne warstwy atmosfery.

Ani minuty wcześniej. Luta miał rację. Tego nadajnika nie uruchomił żaden z członków załogi stacji. To znaczy dawnej załogi.

Nasze zadanie było proste. Dziecinnie proste. Objąć stację. Przejąć na najbliższe dziesięć lat obowiązki obserwatorów przy pierwszej galaktycznej kolonii Ziemi. Powiedzmy, dawnej kolonii. Że przed upływem okresu służby poprzedniej załogi? To co? Oczywiście jeśli przy okazji, w wolnej chwili, udałoby się dociec, co właściwie przydarzyło się naszym poprzednikom, nikt nie miałby nic przeciwko temu. Tylko tyle. Wylądować, podpłynąć do stacji osadzonej w przybrzeżnym paśmie południowego oceanu na czwartym kontynencie, uruchomić łączność, aparaturę badawczą i przystąpić do normalnych zajęć. A co do tamtej trójki... Cóż, jeśli nie żyją, i tak nic im nie pomożemy. Nie jest powiedziane, że bezwarunkowo musimy podzielić ich los. Gdyby jednak nie było ich tutaj, żywych ani martwych... tak, wtedy sprawy mogły się odrobinę skomplikować.

Dość. Wiadomo, że polecimy tak czy owak. Ludzie znają nazbyt dobrze własną historię i siebie samych, żeby zostawić w spokoju mieszkańców najbliższej gwiazdy, którzy odlatując kiedyś z Ziemi, zabrali z sobą dziedzictwo wszystkich pokoleń macierzystej cywilizacji.

– Idziemy, Mur – rzucił Luta, przeciskając się w stronę korytarza. Odruchowo sprawdziłem stan ogniw energetycznych osobistej aparatury i przetwornicy miotacza. Fros odwrócił głowę. Sprawiał wrażenie, że nie interesuje go nic poza tym, co właśnie ukazało się na ekranie sumatora. Mogłem wierzyć, że wolałby pójść z nami. Co oczywiście nie miało

znaczenia. Jako logik-cybernetyk, odpowiedzialny za łączność i pokładowe zespoły informatyczne wiedział, gdzie jego miejsce. Zresztą, nachodzi się jeszcze dosyć. Jeżeli zdąży.

Trwało dobrych parę minut, zanim nad klapą wjazdu błysnęło zielone światło. Atmosfera jak w laboratorium. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent dwutlenku węgla.

Właz otworzył się bezszelestnie. Dałem krok do przodu i stanąłem na półokrągłej platformie windy. Patrzyłem cały czas pod nogi. I tylko pod nogi.

Słuchawki zatrzeszczały. Luta odchrząknął i mruknął coś niezrozumiale.

– Co mówisz?

– Pancerz – bąknął, wskazując głową. Przyjrzałem się połyskującej ciemno powłoce kadłuba. Winda sunęła płynnie w dół, plamy i ślady sadzy na pancerzu, pozostałość po lądowaniu w atmosferze, układały się w krótkie, urwane smugi. Nie było ich wiele.

– W porządku – powiedziałem.

– Właśnie – mruknął.

Zrozumiałem i przestałem interesować się statkiem. Nagle wydało mi się, że nasłuch przyniósł daleki odgłos syreny. Rozejrzałem się szybko i zobaczyłem spływający z najbliższego wybrzuszenia terenu, wirujący kłęb drobnego pyłu. Nic. To tylko wiatr.

Platforma przyhamowała miękko i zatrzymała się kilkanaście centymetrów nad powierzchnią gruntu. Wyprostowałem się odruchowo i stanąłem na wypolerowanej od – rzutem skale. Nie oglądając się postąpiłem kilka kroków do przodu.

– Poczekaj – dobiegł mnie głos Luty – sprawdzimy kierunek.

Stanąłem. Powoli, jakbym naprowadzał na cel laserowy miotacz, uniosłem głowę i spojrzałem w niebo.

Nie było go. Nad naszymi głowami wisiała plastyczna, niedorzecznie pomniejszona mapa. Była wszędzie. W promieniu kilku kilometrów teren wydawał się płaski. Ale zza wierzchołków najbliższych gór wyzierały szczyty następnych. Za nimi też były góry, widoczne już od podnóży. Dalej, a właściwie wyżej, ład wznosił się we wszystkich kierunkach. Żle mówię: ład. Za którymś z kolei pasmem wzgórz jaśniał bezmiar oceanu. I także nie bezmiar. Jego przeciwległy brzeg, widoczny jak na dłoni, przekraczał widnokrąg już nad naszymi głowami i biegł dalej, zacieśniającym się półkolem ku zenitowi. Góry poczynają zwisać szczytami jak sople, ukazując niesłychanie ostro rzeźbę dolin i grani, piargów i strumieni, jakby naprawdę chodziło o oryginalny fresk czy reliefy zdobiące kopułę wzniesionej przez ludzi budowli, a nie krajobraz przeciwległej półkuli globu. Te wiszące w zenicie oceany i kontynenty w istocie dzieliła od patrzącego odległość nie setek, ale wielu tysięcy kilometrów. Planeta nie ustępowała wielkością Merkuremu.

Całe wnętrze tej zastępującej grunt, horyzont i niebo kuli, wypełniało osobliwe światło, wyłuskujące najmniejsze drobiazgi z najbardziej nawet oddalonych lądów, a równocześnie ciemne. Jak gdyby miejsce atmosfery zajęła lita bryła szkła lub jakiegoś czarnego kryształu, doskonale przezroczystego o nieznanym fizyce właściwościach optycznych. Góry, rzeki, doliny, wody i pustynie, obszary porośnięte lasami, wszystko to było i bezbarwne, i ciemnofioletowe zarazem, taki też koloryt przybrało powietrze. Pomyślałem o dziesięciu latach, jakie mają mi wystarczyć, aby oswoić się z tym otoczeniem, i zrozumiałem, czemu Luta zarzekał się, żeby nie liczyć zbyt na jego doświadczenie. Żaden z nas nie miał mu tego za złe. Ale teraz uświadomiłem to sobie naprawdę.

Poczułem jego dłoń na ramieniu. Nie słyszałem, kiedy podszedł. Omiótł spojrzeniem znaczną część horyzontu, po czym zwrócił twarz w moją stronę i uśmiechnął się. Wydało mi się, że lekko skinął głową.

– No? – usłyszałem jego lekko zachrypnięty głos.

Wzruszyłem ramionami.

– Wiedziałem mniej więcej, czego się spodziewać – mruknąłem niezbyt pewnie. – Zatrzaszczyli się o to.

Zatroszczyli się, to właściwe słowo. Maglowali nas jedenaście miesięcy. Zrobili wszystko, żebyśmy czuli się tu jak u siebie. Powiedzmy, prawie wszystko.

– Mogliby tu przywozić wycieczki szkolne – dodałem po chwili, – Wzorcowy przykład atmosfery nadzałamującej. Dwutlenek. Swego czasu szukano czegoś takiego na Wenus.

– Właśnie – burknął.

To było, zdaje się jego ulubione słówko. Przynajmniej od pewnego czasu.

Słuchawki zabrzęczały cicho i rozległ się czysty głos Frosa:

– Co robicie? Przedpole wolne. Śladu ruchu. Chcecie dane?

Luta uniósł głowę i utkwiał wzrok w zboczach najbliższych wzgórz. Stał tak kilkanaście sekund. Wreszcie silniejszy podmuch wiatru jakby go obudził. Otrząsnął się nieznacznie i ruszył przed siebie.

– Dobra, Fros – mruknął, uszedłszy ładnych kilkanaście kroków. – Pilnuj tego przedpola. Poza tym nic od ciebie nie chcemy.

– Na razie – dorzuciłem półgłosem.

– Na razie – zgodził się Luta.

Dozowniki tlenu w zaworach butli pracowały bez zarzutu. Szło się lekko, pomimo ciśnienia przekraczającego dość znacznie ziemskie. Może równoważyło je zmniejszone ciężenie. Albo po prostu konstruktorzy skafandrow trafili wreszcie w dziesiątkę. Wyposażono nas w najnowsze modele, pośpiesznie sprawdzone na którymś z satelitarnych poligonów.

Pierwsze wzgórza, które wydawały się tak bliskie, że tylko ręką sięgnąć, w rzeczywistości były oddalone od miejsca lądowania o przeszło osiem kilometrów.

Stojąc na wierzchołku płaskiego, kopulastego garbu, po raz któryś przebiegłem myślą listę pokładowych pojazdów „Rubina”. Nie była zbyt długa, ale zadowoliliby mnie pierwszy z brzegu łaźnik.

– Metal – mruknął Luta. Spojrzałem w jego stronę. Stał z nisko opuszczoną głową wpatrzony w okienko kalkulatora. Przybliżyłem się i spostrzegłem, że czujnik wskaźnika ferroindukcyjnego rozbłysnął pomarańczowym światłem.

– Stacja?

– Um... Złoża.

– Chcesz tu kopać?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU
ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI